



© TADEUSZ POZNIAK

U mnie widz się nie ubrudzi

Rozmowa z **Krystyną Jandą** o jej teatrze zrobionym ze złości, o guście i widzach oraz granicach intymności w życiu aktora

KATARZYNA JANOWSKA: – Widzę, że ma pani na nogach piękne mokasyny na płaskim obcasie. Gdzie się podziały szpilki? Kiedyś mówiła pani, że nawet na budowę biega na wysokich obcasach.

KRYSZYNA JANDA: – Dziś miałam bardzo ciężki dzień, spotkanie z elektrykiem, z architektem w sprawie kolejnego etapu budowy teatru.

W październiku Polonia obchodzi dwulecie istnienia. Prowadzenie własnego teatru okazało się trudniejsze, niż pani przypuszczała?

Nie, choć nie ukrywam, że zdarzają się chwile, kiedy się zastanawiam, czy dobrze zrobiłam. Przyjaciele mnie pocieszają, że bez względu na wszystko w encyklopedii i tak będzie napisane, że jako pierwsza w Polsce stworzyłam prywatny teatr. Ale ja nie myślę o Polsce w ten sposób.

Nie szkoda pani czasu na biznesowe działania? Nie lepiej byłoby w tym czasie grać, reżyserować?

Fundacja, którą stworzyłam dla tego teatru, zatrudniła profesjonalnego dyrektora, który prowadzi Polonię od strony administracyjnej i biznesowej.

Trudno mi uwierzyć, że pani się w to nie angażuje.

I ma pani rację. Ale to oczywiste. Nie do uniknięcia. Także z powodu mojego temperamentu, niech mi wszyscy współpracownicy wybaczą... Kiedyś w naszym biurze spojrzalam na półki uginające się pod ciężarem skoroszytów i pomyślałam, że w każdym z nich tkwią kartki, które napisałam albo w sprawie których byłam w jakimś urzędzie. Osobiście, bo jeśli ktoś idzie w moim imieniu, wszystko dzieje się znacznie wolniej. Nauczyłam się, że ze sprawa-

wami nawet pozornie mało ważnymi chodzę ja. Tak jest prościej i ze wszystkim szybciej. Nas nie stać na opóźnienia czy nawet drobne kłopoty, a na pewno na to, żeby nie grać. Ten teatr żyje i zarabia tylko wtedy, kiedy gra.

Wychodzi na moje. Zamiast zajmować się sztuką, biega pani po urzędach.

Przez ostatnie dwa lata pracuję w teatrze Polonia na kilku etatach jednocześnie. Ale na razie udaje mi się i grać, i reżyserować, i załatwić formalności, jeśli jest taka potrzeba. Gram mniej więcej tyle co dawniej w Teatrze Powszechnym, czyli około 10 spektakli w miesiącu. Problem w tym, że nie robię już prawie nic poza tym teatrem. „Małe zbrodnie małżeńskie” wyreżyserowałam w Teatrze Telewizji z rozpędu, między jedną a drugą premierą w Polonii. Ale wiele propozycji musiałam odrzucić.

To może tych propozycji pani żałuje?

A wie pani, że nie bardzo. Pewnie dlatego, że w życiu dużo zrobiłam i mój apetyt nie jest już wilczy jak przed laty. Grałam, reżyserowałam, zaśpiewałam nawet w operze. Życie dało mi tyle, że mogłabym tym obdzielić kilkanaście osób. Myślę, że komfort totalnej wolności artystycznej i szansa kierowania tym teatrem jest warta rezygnacji z kilku, między nami mówiąc, czasem średnich propozycji zawodowych. Jestem poza tym w wieku trudnym dla aktorki – jeśli sama sobie nie znajdę odpowiedniego tekstu czy postaci, odpowiednio tego nie wymyślę produkcyjnie, nie wypromuję, to najprawdopodobniej nic ciekawego się nie wydarzy. Ale też składam liczne ofiary dla tego teatru. „Boską!” gram nie dlatego, że chcę mieć popisową rolę, ale dlatego, że wcześniej „naraziłam” ten teatr na Becketta, Czechowa, trudne spektakle, i dla równowagi musimy mieć coś lżejszego.

Czy prowadzenie własnego teatru można pogodzić z chęcią robienia rzeczy ambitnych? Czy podświadomie nie szuka pani tekstów, które dobrze się sprzedadzą?

Oczywiście, szukam. Ale czy wie pani, na czym polega moje szczęście? Mam taki gust jak wszyscy. Nigdy nie chciałam robić sztuki niezrozumiałej, samotnej, wyjątkowej, awangardowej wreszcie. Kiedy zdecydowałam się wystawić „Szczęśliwe dni” Becketta, wiedziałam, że muszę dać tekst reżyserowi, który zrobi go tak, by był zrozumiały dla szerokiej widowni. Swoją drogą, ciekawa jestem, czy któryś dyrektor odważyłby się grać tę sztukę na dużej 300-osobowej sali. Sztuka dla sztuki mnie nie interesuje i nigdy mnie nie interesowała. Nie jestem więc artystką, która cierpi, kiedy musi zrobić coś komercyjnego, wręcz przeciwnie, często oddycham z ulgą i czekam na to z niecierpliwością. Ale mam też w szufladzie teksty, które przyniosłyby nam olbrzymi komercyjny sukces, a mimo to nigdy u siebie w teatrze ich nie pokażę, bo uważam, że nie zasługują na naszą uwagę.

Gdzie jest granica między tym, co dopuszczalne, a tym, co nigdy nie trafi na sceny w Polsce?

W tym samym miejscu co 30 lat temu, czyli we mnie. Intuicyjnie czuję, co będzie miało powodzenie, ale jednocześnie nie spowoduje obniżenia poziomu. Nie mam duszy reformatorki ani kogoś, kto każe się podziwiać, czyli dąży do sukcesu za każdą cenę. Mnie chodzi tylko o drobiazg, aby zdobyć serca, myśli lub wdzięczność widowni. Niewiele chcę, prawda?

Mówi się, że ten teatr zrobiła pani ze złości.

Owszem. Miałam dość chodzenia choćby po korytarzach TVP i proszenia II Programu Telewizji Polskiej, żeby pozwolono mi nakręcić 12 odcinków serialu „Męskie Żeńskie”. Miałam dość podkopywania, zakulisowych działań, odbierania mi produkcji, kiedy miałam już zamkniętą obsadę. Ciągłego proszenia kogoś, żeby mi pozwolił coś zrobić. Wiecznego udowadniania, że warto mi dać szansę. Powiedziałam dość i z tej złości zrobiłam teatr.

A może własny teatr to była ucieczka do przodu? Kiedy słuchałam, jak kreowana przez panią bohaterka sztuki „Ucho, gardło, nóż” wygłasza monolog 50-letniej przegranej, zgorzkniałej kobiety, pomyślałam, że pani taka sytuacja nie grozi, bo uprzedza pani przyszłość.

Myśli pani, że tak jest? To miłe. Teatr Polonia uratował mnie od ewentualnych frustracji. Wszystko, co teraz tu robię, jest konstruowaniem, tworzeniem, budowaniem. Ilu młodych aktorów tu debiutuje! Mam wielką radość z tego, że aktorzy lubią tu grać, że mimo iż nie możemy im zaproponować takich pieniędzy jak w innych teatrach, przybiegają tu jak na skrzydłach. Powoli będę się wycofywać z częstej obecności na scenie. Grać będą inni. Oni będą nieśli ten teatr.

W pani teatrze gra się dużo spektakli o kobietach i dla kobiet. Widz w Polsce jest kobietą?

Przed założeniem własnego teatru w najlepszym momencie grałam od 200 do 300 spektakli rocznie. Prawie każdego dnia i w Warszawie, i w innych miastach w Polsce stałam na scenie i widziałam, że na widowni są przede wszystkim kobiety i to one

stanowią prawdziwą, gorącą publiczność. To kobiety organizują wyjścia do teatru, umawiają się z koleżankami, przyciągają swoich mężczyzn. Moje spektakle adresuję do kobiet niekonwencjonalnych i bardzo konwencjonalnych, mających ochotę iść do teatru, w którym – mówiąc żartem – nie ubrudzą się. To zabawne, z Le Madame, po nieszczęsnym moim zdaniem zamknięciu tego miejsca, wzięłam bardzo dobry i ważny spektakl „Miss HIV”, który u mnie w teatrze natychmiast podwoił publiczność. Doszli widzowie bardziej konwencjonalni, mieszczańscy, tak naprawdę wymarzeni dla tego spektaklu. W Polsce widzowie czują się bezpiecznie, wiedzą, że nic złego czy niespodziewanego ich tutaj nie spotka, najwyżej się wzruszą. Nie będzie agresji, nienawiści, destrukcji, nawet w przedstawianiu tematów najtrudniejszych. Niech pani zobaczy, jak ten teatr jest urządzony. Niby jest industrialny, niby nowoczesny, niby ascetyczny, ale ma też miejsca ciepłe, domowe. Każdy znajdzie coś dla siebie, przynajmniej taką mam nadzieję. Nasze stałe bywalczynie kupują bilety na wszystko, jak leci. Mówią, i pocytują to sobie za zaszczyt, że ja wiem najlepiej, o czym one powinny się dowiedzieć.

Sprzedawała pani dom. Zainwestowała swoje pieniądze, nazwisko, czas.

Ja bym umarła ze strachu. Skąd pani wiedziała, że to może się udać? Jest pani dyrektorem teatru, reżyseruje, gra – nie ma w tym sprzeczności? Ma pani dystans do tego, co robi?

Ja też umierałam, ale już dziś nie umieram. Miałam dwa domy, a teraz mam jeden. I co z tego? Po takim życiu, jak myśmy z mężem przeżyli, to nie ma najmniejszego znaczenia. Jako aktorka i jako reżyser ostatnie 15 lat życia zawodowego spędziłam w teatrze i spędziłam je bardzo szczęśliwie. Kiedy grałam „Fedrę”, „Medeę” czy „Kobietę zawiedzioną”, „Callas” – specjalnie wymieniam trudniejsze tytuły – na widowni było zawsze pełno. Nie miałam powodu myśleć, że w moim teatrze będzie inaczej. Nie wiedziałam tylko, czy będę umiała animować do działania innych. Dlatego zagrałam ▶

REKLAMA

zobacz i usłysz, jak nigdy dotąd

PRZEDSTAWIAMY KURO
WWW.PIONEER.PL

Pioneer

► w Polsce dopiero w drugiej sztuce po premierze „Stefci Cwiek w szponach życia”, a „Badania terenowe nad ukraińskim seksem” w reżyserii Małgosi Szumowskiej z Kasią Figurą robiłam już równocześnie, żeby sobie udowodnić, że nie tylko ja. W spektaklu „Gardło, ucho, nóż” wyszłam na scenę zwyczajnie, tak jak przez lata wychodziłam w Teatrze Powszechnym, ale wiedziałam też, że propozycja repertuarowa jest bardzo kontrowersyjna. Liczyłam na to, że przyjdzie tamta publiczność, nie mogłam sobie pozwolić na taryfę ulgową. Wiedziałam, że tu znajduję inną, bardziej drastyczną i mniej akceptowalną. Ale wiedziałam też jeszcze coś, że na ten tekst nie zdecydowałby się żaden inny dyrektor teatru. Tak wybierając pokazałam, że mój teatr nie będzie letni.

A film pani nie kusi? Rola Stańczakowej w filmie Andrzeja Barańskiego była sukcesem.

Proszę mi wybaczyć, jest sukcesem, bo film, mimo dwóch kopii, jest grany ciągle i codziennie, zawsze w dwóch miastach w Polsce. Rola w filmie Barańskiego była wielką szansą, którą chyba wykorzystałam. Taka propozycja to rzadkość. Aktorki w moim wieku już nie grają w filmach dużych ról. A ja nigdy nie byłam aktorką epizodyczną. Główne role pięćdziesięciolatkom zdarzają się bardzo rzadko i jeśli już, to Meryl Streep (śmiech). Mówią o niej, że ma w szufladzie prawa do wszystkich ciekawych ról dla kobiet w jej wieku, od czasu do czasu coś z tego wybiera i gra, ale też współprodukuje i patrzy wszystkim na ręce. Ja takiej władzy w kinie polskim nie mam. Mogę ją mieć tylko tu, w tym teatrze, choć też myślę o tym rozsądnie, mam nadzieję.

Ma pani też wiernych czytelników pani felietonów i bloga.

Jakiś czas temu w blogu napisała pani, żeby nie pytano o chorobę męża, ale jednocześnie opisuje pani wydarzenia z życia dzieci, mamy, swojego domu, czyli dopuszcza ludzi do sfery intymnej. Nie ma w tym sprzeczności?

Nigdy nie odkrywałam się do końca. Nie mówiłam na przykład o tym, co mnie spotyka w związku z uruchomieniem Polonii. Pisałam, że właśnie rozpoczęliśmy próby „Stefci w szponach życia”. Jedyny komentarz, na jaki sobie pozwalałam, brzmiał: gdyby nie te próby, tobym zwariowała. I to było wszystko. Czytelnicy mojego bloga wiedzą, że nie mówię całej prawdy do końca, ale też nie kłamie. Poprosiłam ich, mówiąc umownie, o nieskładanie mi kondolencji i oni bardzo skrupulatnie tego przestrzegają. Jeśli ktoś się wychyli, inni go natychmiast gaszą.

Publiczne osoby przyznawały się do tego, że chorują. Ich walka stawała się źródłem nadziei dla innych, że z chorobą można wygrać. Pani nie chciałaby w ten sposób pomóc innym?

Jestem osobą społeczną. Potrafię opowiedzieć o czymś, co wykracza poza granicę intymności, jeśli uważam, że innym jest to potrzebne. Napisałam na przykład, że kiedyś uderzyłam moją córkę Marysię w twarz i że tego żałuję, i żałować będę do końca życia. Posypało się po tym bardzo dużo listów. Moje wyznanie było ostrzeżeniem, żeby nie dopuścić do takiej sytuacji albo, jeżeli komuś się to przydarzyło, żeby przeprosił dziecko. Ale choroba mojego męża jest dla mnie sprawą tak bolesną, że nie uważam za stosowne ani o tym mówić, ani nikomu nic tłumaczyć czy ułatwiać. To dla mnie zbyt trudny temat.



„Badania terenowe nad ukraińskim seksem” w reżyserii Małgorzaty Szumowskiej z Katarzyną Figurą. **Polonia to teatr kobiet.**

W środku przeżywa pani dramat, a na scenie przeistacza się pani w „Boską” i z powodzeniem gra farsę. Skąd czerpie pani siłę?

Kiedy były pierwsze trudne momenty, po prostu nie grałam. Teraz wychodzę na scenę i gram, ale to nie znaczy, że cały czas jestem do końca obecna. Jestem profesjonalistką, potrafię wykonać swoją pracę bez względu na okoliczności. Przez jakiś czas widzowie zwracali mi uwagę, że nie kłaniam się radośnie. Teraz już i kłaniam się z uśmiechem, włączałam ukłony do roli.

Wróćmy do teatru. Na czym polega dzisiaj jego siła? Co sprawia, że ludzie chcą tu przychodzić?

Teatr jest w pewnym sensie tajemnicą, a z drugiej strony, wzruszającą umową: my gramy, oni nam wierzą i się tym przejmują. Czy to nie jest cudowne? Podczas wakacji graliśmy na placu Konstytucji „Lament” i za każdym razem spektakl oglądało około 400 osób. Aktorki wychodziły na małe podwyższenie dwa na dwa metry, wokół nich siedzieli albo stali ludzie. Obok przejeżdżały autobusy, karetki, toczyło się życie, a te 400 osób przez półtorej godziny w skupieniu oglądało spektakl. Nie było świateł, dekoracji, kurtyny. Jeden człowiek coś mówił, a drudzy go słuchali. „Lament na placu Konstytucji” to jedno z moich najbardziej

optymistycznych doświadczeń teatralnych.

Czego się nie udało zrobić w ciągu dwóch lat istnienia teatru Polonia?

Muszę powiedzieć, że udało mi się więcej, niż marzyłam. Nie przypuszczałam, że tak szybko zyskamy uznanie publiczności. Ludzie czasem przychodzą dwie godziny przed spektaklem, żeby dostać wejściówki. Nie spodziewałam się też, że wszystko będzie chodziło jak w zegarku. No, ale to już nie moja zasługa, ale pracujących z nami ludzi. Żeby była jasność, ten teatr prowadzi kilku ludzi. Obsługuje go niewielka garstka wspaniałych osób, które uczyły się teatru przy mnie, przy nas i od nas. Wokół teatru gromadzą się entuzjasci, którzy z zapałem angażują się w nasze przedsięwzięcia.

Nie boli pani, że co prawda na widowni są komplety, ale krytycy kręcą nosem na to, co pani pokazuje w swoim teatrze?

Kręcą? Chyba czytałyśmy jakieś inne recenzje. Czasem tak, choć zdumiewająco rzadko. Ale nie martwię się, bo zdaje sobie sprawę, że nasze interesy i utrzymanie tej sceny wymaga wyborów czy realizacji nie do końca zgadzających się z wymogami krytyków. I ja ich rozumiem. Ale trzymam się swojego kursu, bo startujemy naprawdę z innej pozycji niż wysoko dotowane państwowe teatry. A czy w tamtych teatrach zdarzyło się przez dwa lata coś naprawdę niezwykłego? Jesteśmy pierwsi. Teatr dramatyczny bez stałej pomocy państwa. Prześcieramy szlak dla innych i oby im się też udało.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA JANOWSKA